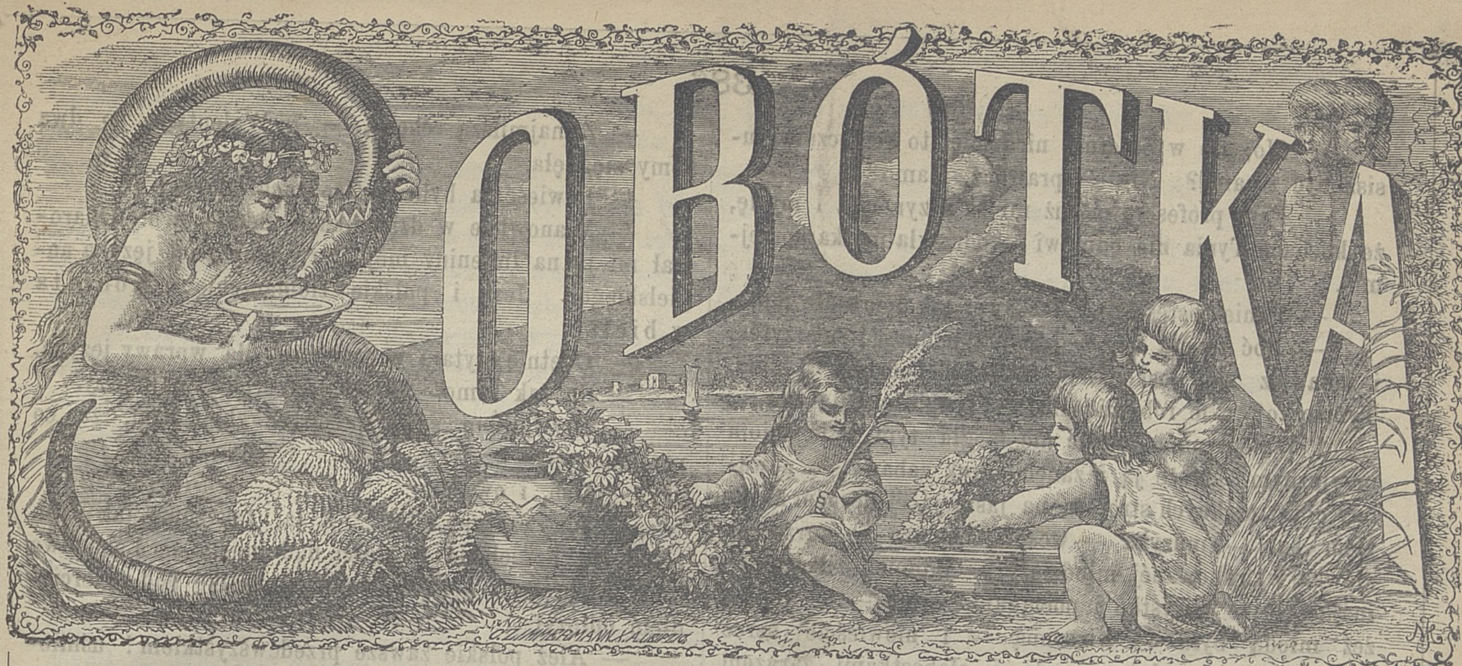


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 48. Poznań, dnia 27 Listopada 1869. Rok I.

DZIS.

Powiastka

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

II.

Cichutko nazajutrz z rana zachowały się matka i córka, by nie przeszkodzić spoczywającym w drugim pokoju — które nad ranem z balu powróciły dopiero. Wreszcie posłyszały szmer obok. A gdy Walentyna lekkiém pokryta futerkiem, w czarnym pilśniowym kapelusiku okrągłym z szafirową welonką, weszła, by pójść do kościoła, — panna Jagulka właśnie rozkazała Jacentemu, ażeby samowar nastawił.

— Panie już wstały? zapytała.

— O, już.

— Dobrze się zabawiły?

— Doskonale. Panna na nic buciki podarła. A było bardzo wiele osób.

— Do widzenia! Walentyna zbiegła po wschodach.

— Na ulicy spotkała Leona. Pokłonił się — powiedział dzień dobry, ale widocznie, mimo chęci, nie śmiał zagadać. Panna pospieszyła naprzód — młody szedł za nią powolniéj. Weszła do świątyni i usiadła w jednéj z bliższych ławek. Pan Leon stanął opodal, i podobno więcéj patrzał na nią — heretyk! — aniżeli na ołtarz, przy którym kapłan właśnie świętą odprawiał ofiarę. Powiedzmy wszelako, że go budował wyraz, który czoło i rysy młodéj rozjaśniał dziewczyny, nie ziemski wcale — i téż dziwnie podnosił ducha młodziana: modlił się niby jéj modlitwą.

Przy drzwiach kościelnych, gdy wychodziła — stał mężczyzna trzydziestoletni, średniego wzrostu i tuszy; dość przystojny z dużemi faworytami płowemi i wąsem, troszeczkę łysawy — w paltocie z grubego kortu, w żółtych rękawiczkach — i głęboko się pokłonił. Walentyna zróżowiała nagle — i grzecznie głową skłoniła. Idący za nią Leon, poznał w nim pana Węgrackiego, nauczyciela języka niemieckiego i literatury — a nadto i biegłego nauczyciela muzyki.

Pan Węgracki szedł za Walentyną — a za Węgrackim Leon. Gdy wchodziła do kamienicy — Węgracki patrzał się za nią, poniósł rękę do kapelusza, ale nie obejrzała się.

— Tyniu, Tyniu! Jakiż to był bal cudny! — zawołała Ida, gdy Walentyna za powrotem poszła paniom dzień dobry powiedzieć.

Służba właśnie salon sprzątała — a panna Jagulka z pospiechem balowe składała szpargałki.

— Więc zabawiłaś się dobrze? wdzięcznie uśmiechnęła się Tynia.

— Wybornie! Doskonale!

— Aż za wiele tańczyła? dodała matka.

— Potrzeba tylko ubrać się zaraz, bo będą wizyty

— Ułożę ci włosy, skoro pozwolisz.

— O mój aniołku! Ida ucałowała przyjaciółkę, a ta zaraz wzięła się do dzieła.

Matka i córka różne balowe opowiadały tualety.

A dziś mały będzie wieczorek, i potańczymy znowu. Tynieczko, gdybyś z nami być mogła?

— To jest niepodobna! Nic nie jest przygotowane.

— Ale możnaby przygotować jeszcze.

— Dziś święto.

— Szkoda! Szkoda!

— No, ale w ostatnią niedzielę, to koniecznie musisz być z nami? Nie — prawdaż, mamo?

— Pani profesorowa już mi to przyrzekła i myślę, że kochana Tynia nie odmówi — odrzekła matka uprzejmie.

— Panie jesteście takłaskawe, tak dobre dla mnie.

— Boć to dla nas będzie przyjemność! A przytém i zabawisz się doskonale. Wszakże będziesz z nami, Tynieczko? Nie rób mi żalu! — popieściła ją Ida.

I Walentyna odmówić nie mogła tym naleganiom przyjaznym. Może ją i zanęcił urok zabawy — powabny obraz pięknych strojów, na jaśniejącéj licznem światłem sali — muzyka — wesoła wrzawa — grzeczne słówka wyfrakowanéj młodzieży — i taniec. Może zamajaczyło to wszystko i pociągało czarem — bo wszakżeż młodą była — wiosenną — i niewieście serce z niewieściemi zaletami, ale i słabostkami zarazem w jéj dziewiczéj uderzało piersi.

Matka nie posiadała się z radości, że śliczna Tynia pod opieką pani Wiesławskiéj na świetnym będzie balu.

Gdy późniéj nadszedł Leon, i mówiono mu o ułożonym planie, nie mógł zadowolenia swego utaić — i zaraz Walentynę do pierwszego zamówił mazura.

Panie Wiesławskie ładne tualety zrobiły. Salon sprzątniono starannie. I po południu liczne posypały się wizyty, jedni odchodzili, drudzy przybywali — panie, panowie i młodzież.

Walentyna — którą Ida zatrzymała koniecznie — uważała zaraz, że młody Stanisław Tarszyński wielce ładniuchną Idą był zajęty, czemu ta ostatnia nie przeczyła wcale.

Wieczorem, tak samo jak wczoraj, Walentyna znowu Idę na dzisiejszą ubrała zabawę. I pojechały w towarzystwie Leona, ale o godzinę wcześniéj.

Dnia drugiego przyszły jak zwykle, uczennice Walentyny o godzinie ósméj, i w sypialnym pokoju z niemi odbyła naukę. Gdy odeszły o dwunastéj, udała się do salonu, i zastała już tamże i matkę swoją.

Leon posunął się ku niéj z wyrazem szczególnego zajęcia. Ida przybiegła, uścisnęła ją i zawołała:

— Zmęczyłaś się Tynieczko! Widać to po tobie.

— Ach nie — odrzekła tamta — już nawykłam.

— A może przeszkodziłyśmy lekcyi muzyki? zagadała pani Wiesławska z wyrazem życzliwym.

— Lekcya muzyki jest po obiedzie dopiero, o czwartéj.

— Rzeczywiście podziwiam panią! Podziwiam panią! wyrzekł Leon — jak pani temu podołasz?

— Trudzi się biedaczka i męczy. Już nieraz chciałam to powstrzymać, lecz ona tak jest skora i chętna w pouczaniu panienek, któremi się zajęła, że i odwieść się nie da. A jeszcze przytém i czyta wiele, pracuje nad sobą...

— Uważałam, że pani masz tutaj najwięcéj książek angielskich? zwrócił się Leon do Walentyny.

— Mam wielkie zamiłowanie do literatury angielskiéj. A książki te są podarunkami od profesorów i współuczennic.

— Czy pani raczyłabyś nam do domu pozwolić The woman in white?

— Z najmilszą chęcią — i Walentyna po dwa tomy sięgnęła.

— Powieść ta była bardzo zachwalana.

— Mianowicie w dziennikach niemieckich. Ofiarował mi ją na imieniny mój stary nauczyciel języka angielskiego. Jest i polskie tłómaczenie: Kobieta w bieli.

— Chętnie czytam w oryginale dla wprawy języka.

— Ja tak samo. Bo to jest środek najlepszy.

— Pozwoliłem sobie przejrzeć zbiór pani, za co przepraszam.

— Och, i owszém...

— Ida czytuje także. A ja, tak samo jak pani, przenoszę angielskie powieści nad inne. — Leon dwa tomy odebrane z półukłonem na konsolkę pod zwierciadłem odłożył.

— Ależ polskie zawsze przedewszystkiem! uśmiechnęła się panna.

— Zapewne. Mówiłem tylko w ogólności o obcych. A wszakżeż powieść angielska może i najwięcéj zbliża się do polskiéj.

— Bo w domowe i rodzinne wnika życie, tak jak nasza. Daje nam żywy obraz zwyczajów i obyczajów, że i niby żyjemy przy tém ognisku, z onemi postaciami wyrojonemi...

— I nigdy niemoralnością nie grzeszy — dodał Leon.

— Nadeszły panie jakieś i pan Stanisław Tarszyński. Potoczyła się gawędka o wczorajszym wieczorze. Leon wszelako, nieco na stronie, literacką rozmowę z Walentyną pociągnął daléj.

Po obiedzie rodzina Wiesławskich odjechała. Na pożegnanie powtarzano sobie: „Do widzenia w ostatnią niedzielę!“ — A Ida napomniała raz jeszcze, by tylko Tynia danego nie cofnęła słowa.

Po ich odjeździe wniosła Kasia ze szczególnym uśmiechem, dość duże pudło do pokoju.

— Co to? zapytała pani Żeglińska. A Walentyna od przeglądu skryptur swoich uczennic spojrzała.

— Oddał mi to służący pana Wiesławskiego, bym paniom zaniosła.

Kasia otworzyła. Był tam ładny bukiet, cukry, jabłka tyrolskie i wyborny tort makaronikowy. Walentyna zapłonęła i aż zadrgnęła niby.

— Tyniu, Tyniu! zawołała matka uradowana. — Otóż widzisz!

Walentyna była pomięszana. Właśnie nadchodziły jéj uczennice — i szybko pudło do drugiego wsunęła pokoju. Matka zaśmiała się i pogroziła jéj żartem. — Po lekcyi młoda nauczycielka cukierkami poczęstowała panienki.

Porządkując następnie swoją biblioteczkę, spostrzegła, że Leon tylko tom pierwszy The woman in white zabrał z sobą.

— Pocóż nie zabrał obudwóch? Dziwiła się.

Matka z uśmiechem wyrzuciła głową, i poszepnęła:

— Ażeby miał rychłą po drugi zamówkę.

Młoda dziewczyna w milczeniu ułożyła książki — ale jéj uwaga matki dziwnie w uszach zalegała... i duszy. A gdy o szaréj godzinie, według zwyczaju, przechadzała się po salonie — zanim Kasia lampę przyniosła — by

wyprostować się trochę po tylugodzinném ślęczeniu, jakoś inne od zwyczajnych, zamajaczyły jéj marzenia — że je jako natrętne, aż odpędzać musiała.

Nazajutrz w południową godzinę przybył pan Węgracki z wizytą: we fraku — i nowych żółtych rękawiczkach. Była to wielce ceremonialna wizyta, mająca pewne, widoczne znaczenie — i krótko zabawił.

— Otóż i deklarowany konkurent! wymówiła pani Żeglińska do córki z rozjaśnionym wyrazem — a bądźmy bardzo grzeczne dla niego. Udam wszelako, gdy mnie kto zaczepi, że go jako konkurenta nie uważam bynajmniéj, ale raczéj jako przyjaciela i kolegę ś. p. męża. Nie zrażaj go tylko, proszę!

— Mamo, jestem przecież zawsze grzeczną dla niego. Cenię go i lubię.

— No, to dobrze. Bo gdyby — dodała cichym poszeptem, pochylając się ku niéj — gdyby tamten chybił, to Węgracki zawsze jest partyą.

Walentyna pobladła nagle, jak gdyby zemdleć miała. Lecz matka nie zważała na to, bo właśnie wpadł Antoś do pokoju, jakąś miejską opowiadając nowinkę.

Po czwartéj spotkał pan Węgracki wracającego z klasy Antoniego, i wezwał go z sobą na przechadzkę, ile że dzień był pogodny. Obeszli miasto, a potém wstąpili do cukierni na kawę i ciasta świeże. Za powrotem do domu, opowiadał o tém. A przy herbacie smakował mu wybornie tort makaronikowy i jabłuszka tyrolskie.

W dni kilka potém, znowu w południowéj godzinie — uczennice Walentyny co tylko były odeszły, — gdy wbiegła Kasia z kuchni, oznajmiając pana Leona Wiesławskiego. Walentyna z lekka pobladła, odkładając książkę.

— Prosimy! zawołała matka z wyrazem radosnym. Widzisz! widzisz! zwróciła się do córki, gdy Kasia wyszła.

Leon wszedł do salonu. Walentyna pomięszanie ukryła swoje.

— Witam pana! — wyrzekła pani domu, podając mu rękę.

Leon pokłonił się w milczeniu.

— Jakże mama? Jakże siostrzyczka? zapytała, poprosiwszy go siedzieć.

— Nie widziałem ich od dni trzech, ale wiem, że są zdrowe. Dziękuję za pamięć.

— My tak je kochamy!... pan na długo do N. N.?

— Do jutra, pani. — Odnoszę tom pierwszy, a proszę o drugi — wymówił do Walentyny zwrócony, kładąc książkę na stole.

— Żeś to pan obudwóch nie zabrał...

— Zapomniałem. Byłem roztargniony. Rzecz jest zajmująca nadzwyczaj i czyta się bardzo dobrze.

— Język śliczny. Słyszałam sąd ten nawet i od znawców wielkich. Przyznam wszelako, że pod względem powieści przenoszę tom pierwszy nad drugi. Ten ostatni za nadto jaskrawe, zanadto drastyczne przedstawia obrazy.

Walentyna powstała i podała tom drugi.

— Panie pozwolicie, to wstąpię pod wieczór, bo mam jeszcze wizyty do oddania.

— Jeżeli pan nie masz nic lepszego do czynienia, to racz przyjść do nas na herbatkę — prosiła pani domu.

Walentyna we wnętrzu swojém zadrgnęła — i mocny rumieniec wybiegł na jéj lica.

— Och pani dobrodziejko, będę szczęśliwym bardzo! odrzekł Leon — i wdzięcznym nieskończenie za ten rozkaz.

— To prośba!

Walentyna milczała. Właśnie nadbiegł Antoni z klasy. Gość go uścisnął i pogadał z nim. W półgodziny potém pożegnał się wyrazem: Do widzenia!

Jeszcze przy obiedzie siedzieli, gdy Kasia wpadła rumiana, z okiem błyszczącém, powiadamiając:

— Forszpan pana Wiesławskiego taką wielką przyniósł sarnę!

Porwała się gospodyni domu, za nią Antoś — i wybiegli. Walentyna pozostała — ale przystanęła, mocno zarumieniona. Słyszała mocną pogadankę w kuchni — lecz pozostała w miejscu.

— Tyniu, Tyniu! wołała matka.

— Tynieczko! Oj będąż to pieczenie! dodał Antoni wesoło.

Młoda dziewczyna wszelako niby nie śmiała pójść zobaczyć.

— Takaś obojętna! musnęła ją matka z uśmiechem pod bródkę i pocałowała ją w czoło.

— Tynia aż zdumiała! zawołał Antoś.

— A czy nie mam słuszności? poszepnęła jéj matka.

— Młoda dziewczyna pochyliła głowę i milczała.

— Po lekcyi muzyki, kazała pani Żeglińska większą w salonie zapalić lampę — i do herbaty przyrząd uczyniła. Walentyna z robotą przy stole usiadła. Antoni czytał jéj Dziennik wczorajszy.

Około siódméj pan Leon nadszedł. A za nim wniosła Kasia na półmisku wielką piramidę z ciastek angielskich — i pełen koszyk pomarańczy.

— Co to? niby też to zdziwiła się gospodyni domu.

— Wybacz najszanowniejsza pani dobrodziejko — wymówił Leon, całując ją w rękę — byłem u Cukrowicza za sprawunkami, odebrał właśnie świeży transport, kupiłem dla matki... I pozwolisz pani usłużyć sobie.

— Dziękujemy! Pan jesteś tak łaskaw! Otrzymałyśmy sarnę...

— Już przyniósł? — wyrwało się z ust Leona i poczerwieniał. — To matka moja przysyła. U nas zwierzyny tak jest dużo.

— Ale skończy się polowanie niezadługo — ozwał się Antoni.

— A tak, w końcu lutego. — Pani sobie oczy popsujesz, zagadał Leon formułką zwyczajną, przysiadając obok panny, zapewne by co rychléj urwać rozmowę o sarnie.

— Łatwa to robota — odrzekła.

Rozmowa przeszła na artystyczne pole. Młody opowiadał o gobelinach, które widział we Francyi. Mówił o obrazach Grotgera — o których Walentyna wyrażała się z uniesieniem — ze łzą na źrenicy.

Po chwili wymówiła pani Żeglińska:

— Pan byłeś ciężko ranny w roku 1863, opowiadała mi mama.

Leon zapłonął.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KARTKA Z ŻYCIA.

Credo.



W młodzieńczym wieku, w daleką stronę
Wichrami losu będąc zagnany,
Obce mi było słowo pieszczone,
Najdroższéj matki, matki kochanéj.
Ni uścisk ojca, ani rodziny
Głos mię nie doszedł rzewnéj pociechy...
Na poniewierkę, Boże jedyny!
Byłem rzucony z rodzinnéj strzechy! —
Kiedy widziałem na łonie matki
Pieszczone dziecię, tom rozszalały
Rwał się do niego, jakbym ostatki
Pieszczot dziecinie chciał wydrzeć małéj..

. . . . Matko jedyna!
Tylko pamięcią żyłem ja twoją,
Tylko wspomnieniem twojéj pieszczoty!
W rozpaczy, dziecku Ty byłaś zbroją.
Świecącą jasno, jak promień złoty.

A gdym powrócił do ojcowizny,
Kędy zastałem zamknięte wrota,
Nowe mi serce okryły blizny,
I znów poznałem — żem ja sierota.

Stęsknioném sercem szukałem kogo,
Coby mógł odczuć tętna méj duszy,
Coby mi przyszłość pokazał błogą
I w raj zamienił — piekło katuszy.
A kto łez nie zna tych, co wylałem,
Kto nie padł wrogom w sidła i kleszcze,
Kto tak niebolał — jak ja bolałem,
Ten się z cierpieniem nie poznał jeszcze..

I na méj drodze stanął młodzieniec,
Jasne miał oczy, pogodne czoło,
Na licu róży kwitł mu rumieniec
I na sierotę skinął wesoło. —
Jam się ku niemu rzucił w nadziei,
Że ciernie życia zmieni mi w róże,
On mi dłoń drucha podał z kolei,
Co miała przykre zażegnać burze..
Do jego serca sercem zbolałém,
Tulę się całém mojém istnieniem,

O! Panie! Panie! czyż ja wiedziałem,
Że serce jego było kamieniem?

Wł. B.

Pieskoskalska dolina.

(Z ryciną)

Wspaniałe to okolice naszego Krakowa! Ktokolwiek wstępuje w te urocze ustronia, czy ten, który doznał ciernistych kolców na drodze żywota, czyli ten, któremu od kolebki gwiazda szczęścia przyświeca, jeżeli na dnie serca jego pozostało poczucie tego, co jest szczytne i piękne, to Pieskoskalska dolina nie może dla niego pozostać martwym obrazem; na każdym przychodniu uczyni ona wrażenie którego tenże nigdy nie zapomni.

Na czystéj i wartkiéj wodzie strumienia stoi jakby od niechcenia rzucony mostek, który dwa brzegi doliny zaślubił. Tuż po nad strumieniem sterczą zdala widziane głazy. Jedne z nich okrywają tysiące swych szram mchem lub gałązkami brzozy i choiny, inne zaledwie szarą rdzą przez długie wieki osłoniły olbrzymie członki, inne wreszcie jakgdyby wbite w opoczystą skorupę ziemi stoją samotnie, co chwila strasząc upadkiem.

Nad tym szeregiem opok wznosi się sędziwy zamek, świadek naszéj ubiegłéj przeszłości, który niegdyś należał do rodziny Szafrańców, później do Zebrzydowskich, a w końcu do Wielopolskich.

Z oglądających dawniejszą część zamku nikt zapewne nie pominie pieczary, Dorotką zwanéj; ludzie miejscowi utrzymują, iż pieczara ta mająca wąskie wejście, rozdziela się na dwie części i daleko za mury zamkowe podchodzi.

Piwnica i lochy podziemne, prawie w każdym znajdujące się zamku, służyły za więzienie, w którém niekiedy na głodową śmierć wskazywano w czasach, kiedy pan grodu był razem panem życia i śmierci ludu swojego. Utrzymuje się tu podanie, iż nazwisko pieczary pochodzi od dziewicy z rodu Toporczyków, którą za wykroczenie przeciw obyczajom wtrącono na całe życie do tego podziemnego lochu. Nieszczęśliwa Dorotka przeżyła w pamięci ludu, imion zaś tych, co ją na tak barbarzyńskie katusze wskazali, ani czynu, za który cierpiała, kroniki nam nie przekazały.

Odosobniona skała, która wita przychodnia i dziwną postacią zwraca na siebie jego uwagę, jest tak zwana przez jakiegoś zwolennika hellenizmu: Pałka Herkulesowa. Lud okoliczny, któryby się prędzéj zgodził na maczugę krakusową, od wieków po swojemu nazywa ją Sokolą.

Opoka ta rzeczywiście kształt maczugi mająca, wydaje się, jakgdyby cieńszym końcem w skalisty granit utkwioną była. Postać jéj tém więcéj zdumiewa, iż głaz jednolity, kilkadziesiąt łokci wysoki, u wierzchu do 150 stóp, w podstawie zaś zaledwie połowę obwodu trzyma. Żadne podanie ludu nie zachowało przyczyny, dla czego ją lud Sokolą nazywa, a według przyrodników, głaz ten siłą ognia z łona ziemi wypchnięty, dotąd niewzruszony opiera się najazdom burz a nawet złośliwéj i niszczącéj ręce człowieka. Maczuga owa, tuż prawie pod murami zamku stojąca, nie tylko widoku jego nie zasłania, ale nawet pod względem całości piękniejszy urok sprawia.

Daléj od Sokoléj skały stoi inna mniejsza, na któréj hr. Wielopolska, niegdyś dziedziczka zamku, utkwiła żelazny krzyż, to godło chrześcijańskie, które tu śród cudów wspaniałéj przyrody silne na sercu robi wrażenie.

X.



Pieskowa Skała.

O Teatrze narodowym.

V.

Ograniczeni ciasnemi ramami, z przykrością wyrzec się musimy obszerniejszego poznajomienia czytelników naszych z dziejami teatrów polskich na Litwie i Rusi. A szkoda! raz dla tego, że dzieje te w obec gruzów dzisiejszych mają w sobie cały urok lepszych czasów, powtóre, że są one niezbitym dowodem polskości stron tamtych, potrzecie wreszcie, że dla Poznania i Wielkopolan leży w nich głęboka nauka, a może nawet pewien rodzaj wyrzutu. Że w Warszawie, we Lwowie, a nawet w Krakowie istnieją stałe teatra polskie, gdy Poznań nań zdobyć się nie może, to jeszcze da się do pewnego stopnia usprawiedliwić, ale jeżeli Wilno i Kijów, jeżeli Grodno, a nawet Żytomierz mogły pod obuchem moskiewskim dać życie scenom narodowym dobrym nawet, to już w obec tych przykładów Wielkopolska stoi bez wymówki i odpowiedzi.

Dzisiaj jednak zmuszeni jesteśmy ograniczyć się pobieżnym przeglądem, nie bez nadziei wszakże, że kiedy indziéj, Redakcya Sobótki pozwoli nam wrócić do tego przedmiotu i o téj ciekawéj historyi scen narodowych w prowincyach zabranych obszerniéj pogawędzić.

Wilno mało późniéj od Warszawy miało teatr polski. Już w r. 1786 W. Bogusławski przybył tutaj na zjazd trybunału i dawał z wielkiém powodzeniem przedstawienia w teatrze na prędce urządzonym w pałacu Oskierków. Znać wielkie było zamiłowanie publiczności, skoro człowiek tak popularny w Warszawie, przybył tutaj, bez przerwy aż do 1789 robiąc wycieczki do Dubna i Grodna, i dopiero na rozkaz królewski stolicę Litwy opuścił. Po jego wyjeździe grywała tu trupa Morawskiego aż po rok 1794, a po roku przerwy Morawski znów wrócił napowrót, zbudował nowy, większy i wygodniejszy nieco teatr, a trupę zwiększył i dawał tragedyą, komedyą, a nawet opery i balety. Teatrem opiekował się wtedy głównie marszałek Brzostowski, i Morawskiemu wiodło się niezmiernie. Mimo pysznéj wystawy (gdy miano np. przedstawiać Palmirę, kostiumy dla aktorów i 120 figurantów sprawił atłasowe) po dziesięciu latach przedsiębiorstwa ustąpił przywileju Kużyńskiemu, i kupił sobie dobra w Wileńskiém, kamienicę w Wilnie i dom na Antokolu. Kużyńskiemu równie się dobrze powodziło, ale zraziwszy dumę aktorów, spowodował rozdział. W r. 1810 Morawska otworzyła drugi teatr w ratuszu, który jednak rok się tylko utrzymał i znowu Kużyński został sam. W r. 1816 występował tu Bogusławski, a w r. 1818 Ledóchowska z Warszawy. W r. 1820 rozwiązał się na chwilę teatr polski w skutek nieporozumienia z dyrektorem, a za to przybyła trupa niemiecka, która jednak wkrótce zmuszona była Wilno opuścić. Kużyński ciągle utrzymywał się przy dyrektorstwie, ale rok 1831 rozpędził znów artystów. Za to w r. 1833 otwarto nowy teatr w ratuszu, i następne lata należą do najświetniejszych. Na nieszczęście w r. 1837 przywędrował tutaj znów niejaki Schnidkoff z operą niemiecką, i choć wkrótce straciwszy wszystko, ledwo uciec zdołał, zawsze zaszkodził teatrowi polskiemu.

Dopiero po jego upadku scena narodowa znowu się podniosła, a choć w r. 1838 Kużyński umarł, to przecież z przybyciem w następnym roku Dawisona i przy współudziale obojga Aszpergerów, Surewicza, Fiszera, Górskiéj i t. d. teatr stał bardzo dobrze, zwłaszcza przeniósłszy się do gmachu przez Kużyńskiego wybudowanego, choć wnętrze jego było źle i niedość ozdobnie urządzone.

Między r. 1840 a 1844 opera polska upada, a i dramat słabieje także, pozbawiony sił najlepszych, które się po świecie rozbiły. W r. 1844 rząd tworzy obok polskiego moskiewski teatr, który jednak lichy, mało uczęszczany, nie wiele szkodzi scenie narodowéj, kierowanéj od 1845 aż do 1849 przez Rogowskiego. W tym roku oba teatra przechodzą pod zarząd Herkulana Abramowicza i pod jego dyrekcyą scena polska dochodzi do coraz większéj świetności.

W r. 1852 w ciągu zimy personał polski składał się z 41 osób; odgrywano po polsku 22 dramata, 2 tragedye, 36 komedyi, 29 oper; po moskiewsku 51 komedyi i 2 wodewille. Rozchody obu teatrów wynosiły przez 8 miesięcy 13,645 rubli, dochody blisko 15,000 rubli.

W r. 1856 teatr zostaje przepysznie odnowiony za pomocą dobrowolnych składek obywatelskich, ale personał uboższy w talenta. Abramowicz stwarza operę, która zyskuje wielkie powodzenie z Rostkowską, Leśniewską, Nowakowskim i Chełmikowskim.

Komedye i dramata oryginalne coraz większe zajmują miejsce w repertoarze. Nowińscy (ojciec, matka a zwłaszcza syn) są w tym czasie ulubieńcami publiczności. W r. 1859 teatra wileńskie przeszły pod dyrekcyą Szlugera; opera pod tym zarządem upada, ale za to przedstawiane są prawie wyłącznie sztuki oryginalne. Bądź co bądź, teatr stoi świetnie, całą zimę przepełniony i mimo moskiewskich przedstawień żyje o własnych siłach, bez żadnéj subwencyi. Rok 1862 zamyka te świetne i nauczające koleje, które dowodzą, że w mieście liczącém 50,000 mieszkańców teatr polski mógł się utrzymać przez całe pół wieku, i wspierany jedynie sympatyą ludności stawić czoło niechęci i prześladowaniom władz.

Ale jakże się dziwić stolicy, gdy mniejsze daleko Grodno potrafiło podtrzymać prawie stałą scenę. Już w czasie sejmów dawano tu przedstawienia, a w r. 1770 Tyzenhaus sprowadził sławnego baletnika Ledoux, w r. 1784 zaś istniały tutaj naraz balet, opera włoska i teatr polski Bogusławskiego, a mimo to, każdy wychodził na swoje. Wtedy już istniał tutaj stały budynek teatralny, który jednak potem na ujeżdżalnię przerobiono z powodu zbytecznego od miasta oddalenia. Odtąd w każdym roku prawie zjawia się tu to trupa z Wilna Morawskiego (1791, 1792 r. i w późniejszych latach), to przybiega na chwilę Bogusławski, to Szymański z różnem szczęściem walczy z przeciwnościami, to czas jakiś stale bawi Kużyński. Od 1840 aż do 1853 widzimy tu prawie bez przerwy stałą trupę, złożoną z 7 aktórek i 8 aktorów, która ciągle dobrze wychodzi. Potem znów zjawiają się trupy wędrowne. W r. 1860 teatr został odrestaurowany staraniem kompanii francuzkiéj, budującéj koléj, a dyrekcyą objęła Linkowska i bardzo dobre zrobiła interesa, potem Szpilew. W tym także czasie zaczęto dawać i sztuki moskiewskie.

Mińsk również od początku tego wieku posiadał teatr, jeżeli nie stały to przynajmniéj w rok na kilka miesięcy się zjawiający. W r. 1835 gdy wraz z całém miastem spalił się i teatr, Tyszkiewicze i inni miłośnicy sztuki wybudowali nowy, wcale ładny budynek. Od r. 1840, aż po koniec 1860, ani jeden rok nie minął, żeby w Mińsku czas jakiś nie gościła trupa przyjezdna. Nareście w r. 1860 powstał pod dyrekcyą rządową teatr stały, moskiewsko-polski. Nad tym ostatnim zarząd objął Śniadecki, wnuk Jędrzeja, i w bardzo krótkim czasie doprowadził go do stosunkowo wielkiéj świetności.

Na krańcach Polski leżące Witebsk i Mohylew mniéj były naturalnie szczęśliwe. W obu tych jednak miastach, bardzo często zjeżdżały się trupy wędrowne, a przed r. 1830 zwiedzał je dość często Werowski. W Witebsku nawet staraniem ks. Galicyna stanął w r. 1846 r. teatr bardzo ładny, który otworzona polską komedyą, i odtąd aż do r. 1862 ciągle tam bawiła trupa polska. W Mohylewie zaś kilka lat trzymali się artyści pod kierunkiem Kondrata.

Kowno może najpóźniéj doczekało się widowisk narodowych, bo dopiero około 1840 znajdujemy pierwsze ślady pobytu tutaj Surewicza z towarzyszami. I Kowno ma budynek stale na teatr przeznaczony i ile razy znośna zjawiła się sztuka, teatr był przepełniony.

Wszystkie więc miasta litewskie gubernialne miały prawie stałe sceny polskie, a od śmierci Mikołaja taki się w tym kierunku ruch rozwinął, taka gotowość do ofiar rozgrzała serca zamożniejszych mieszkańców, że gdyby nie rok 1863, Litwa miałaby dzisiaj niezawodnie kilka teatrów stałych i dobrze zorganizowanych. Niepodobna nam tu wyliczać wszystkich miast i miasteczek, w których peryodycznie, w czasie kontraktów (jak np. w Dubnie) lub przypadkowo zjawiali się artyści polscy; musielibyśmy chyba wymieniać cały spis miast powiatowych, wszędzie bowiem gdzie istnieje buda, mogąca pareset ludzi pomieścić, zjawiali się wędrowni artyści nasi. (Dokoń. art. V. n)

O tém i o owém ze świata zwierzęcego.

Byłoby bardzo źle, gdybyśmy liczyć musieli nasze polskie bociany, żórawie, słowiki i sprowadzać, jak Amerykanie, wróble do kraju, lub kupować żabki, jak Anglicy, którzy, nabywszy nie dawno w okolicach Hamu 400,000 tych zwierzątek, obdzielali niemi swych ogrodników celem wyniszczenia robactwa w cieplarniach. Dzięki Bogu, zwierzęta nasze, twarde jak my sami, nie tak prędko wyniszczyć się dadzą. Niedbalstwo nasze i obca kultura wytrzebiła nam lasy, wypędziła żubry i niedźwiedzie, lecz nad szczytami Tatrów buja jeszcze orzeł, ściga się z chmurą tatrzańską kozica, a nad doliną i nad mogiłami śpiewa ptaszę polne polską załobę i polską nadzieję...

Z uznania godną gorliwością zajęła się sprawą rodzinnego świata zwierzęcego, Komisya fizyograficzna-galicyjska, która sobie wzięła za zadanie badać i brać w opiekę wszystko to, co się odnosi do ojczystéj ziemi i ojczystego nieba. Ale bo też był czas, gdzie się zdawało, jakoby cała banda wyrzutków galicyjsko-lodomeryjskiego społeczeństwa, spiknęła się na zagładę najpiękniejszéj ozdoby naszych strumyków i gajów, wdzięcznych śpiewaków majowych wieczorów i ranków, aż wreszcie zacni przyrodnicy krakowscy krzyknęli na rząd: „Hannibal ante portas“ i polski słowik ocalał. Miarą gospodarstwa ptasiego w Galicyi niechaj będzie ta okoliczność, że zarząd kolei żelaznéj w Krakowie, w przeciągu dwóch lat od czasu wydania zakazu łapania i wywożenia ptaków śpiewających, zabrał blisko 200 samych słowików, przeznaczonych za granicę. Czy i jak ukarano przestępców, nie wiem, dodam tylko, że prawo pruskie za złapanie słowika naznacza 10 tal., a na własne oczy widziałem, że władze miejskie wrocławskie słowikom gnieżdżącym się na promenadach dostarczają żeru. Da Bóg i my poszczycim się kiedyś podobną grzecznością względem naszéj polskiéj Melpomeny, któréj cudownym głosikiem wielki król nasz oczarowany, zgon sobie przyspieszył*); a nie pierwszy to przykład, gdzie nasza przyroda z dziejowemi spleciono wspomnieniami, więc też nie dziw, że coraz żwawiéj tętniące poczucie narodowe tém tkliwszą opieką otulać poczyna płody rodzinnéj sfery. Mam tu na myśli wspomnioną już Komisyą fizyograficzną krakowską, i z nią przyrodzonym sojuszem wiążące się zjazdy przyrodników polskich. Jeżeli miarą oświaty jest uczucie, to sposób obchodzenia się ze zwierzętami jest miarą stopnia ogłady i rozwoju tegoż uczucia, a brak jego znamionuje surowość i dzikość obyczajów. Do wykształcenia społeczeństwa naszego w tym kierunku zjazdy przyrodników o tyle się przyczyniają, że wykazując nam rok rocznie stan fauny krajowéj, nauczą nas, jakie na ziemi naszéj posiadamy skarby, a tém samém nauczą nas szanowania takowych. W kierunku gromadzenia zbiorów zwierząt krajowych już wiele zdziałano; nie pomijając zbioru ptaków darowanego uniwersytetowi krakowskiemu przez hr. Wodzickiego, podziwiać należy rzadkie poświęcenie hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, który własnym trudem i nakładem zgromadził zbiór zwierząt taki, jakiego w prywatnych rękach napróżno gdzie szukać.

Aż do roku 1848 posiadała Galicya prywatny zbiór zwierząt krajowych w Podhorcach, zgromadzony staraniem i kosztem p. Pietruskiego. Szanowny ten badacz podał krótką wiadomość o swojém muzeum w osobnéj broszurze p. t.: „Dwa odczyty... o niektórych rzadszych krajowych zwierzętach ssących“, na którą zwracamy uwagę szanownych czytelników i czytelniczek naszych, bo broszurka napisana przystępnie i zajmująco, a ponieważ zawiera niektóre szczegóły, zdolne rozpędzić nudę zimowego wieczora, więc nim się zaczną studya choreograficzne, warto się przypatrzeć pląsom i zabawom naszych leśnych i polnych współobywateli.

Bóbr, dawniéj w Polsce zwierz pospolity, może dla tego, że zimniéj bywało, a jak bywało, opowiem. R. 1438 zima trwała od św. Marcina do św. Grzegorza, a na wiosnę chléb robiono z liści tartych i jemioły. R. 1474 mrozy straszne i śniegi tak były wielkie, że na Podolu wyginęły stada ptaków i powaliły się wieśniacze chaty. R. 1498 wtargnęło na Ruś 70,000 Turków. Ale przyszła polska zima: nadzwyczajne mrozy i śniegi miały wytępić do 40.000 najezdników. Paprocki, Sarnecki i inni kronikarze mówią, że Turcy „chroniąc się od przeraźliwego zimna, wypuściwszy wnętrzności koniom, włazili w ich brzuchy, lecz ciepło nie trwało długo, i znajdowano zmarzniętych wraz z temi bydlęty.“ Wprawdzie na to i bobry nicby nie pomogły, ale i dziś, choć bobrowemi skórkami tylko brzegi naszych korzuchów obszywać zwykliśmy, należy nam wiedzieć, że i to nie nasz towar. A żyły dawniéj bobry nie tylko nad brzegami wszystkich wielkich i małych rzek polskich, lecz znajdowały się także przy stawach i bagnach. Osłaniała je też opieka ustaw i zwyczaj, gdy nawet po XIII w. istniały osobne urzędy bobrowe nad Nidą i Narwią, a bobrownie mazowieckie tak były prowadzone, iż dobierano w nich stada jednego koloru. Z czasem wytępiono użyteczne bobry, a dziś ani słychać o zwierzątkach, które ojcowie nasi w półobłaskawionym stanie jako domowe chodowali. Dla tego też p. Pietruski w miejscu bezużytecznych bażantarni, radzi zakładać bobrownie, jak to uczynił n. p. Książę Schwarzenberg w Wittingen w Czechach. Do tego celu, mówi p. Pietruski, potrzebaby poświęcić miejsce około 20 morgów przestrzeni mające nad rzeczką jaką, tu zrobić staw 5morgowy, a nad stawem wysokim lasek z olszyny, topol, rokicin i innych wierzb. W lasku wystawić domek dla dozórcy i dla początkowego przechowywania sprowadzonych a jeszcze nie przyzwyczajonych bobrów. Staw i lasek oparkanić i rowem obwieść. Wyżywienie bobrów nic nie kosztuje, bo te zwierzęta niczém nie żyją, tylko korą z drzew, a przeto rybom nic nie szkodzą. Bóbr daje 30 funtów dobrego mięsa, a ogon według świadectwa p. Redyka z Krakowa, wyśmienity. Ale gdy ten przysmak ongi widywano tylko na stołach senatorów i magnatów, to i dziś jeszcze bóbr daje nam lekarstwo, wspólne magnatom i biedakom, jest to tak zwany strój bobrowy (Castoreum), którego uncya (około 2 łótów) kosztuje blisko 20 tal.

*) Król Jagiełło, słuchając w nocy śpiewu słowika w Medyce, zaziębił się i skutkiem zaziębienia umarł.

Od bobra do szczura tylko krok. Gdy nas opuściły użyteczne bobry, dostaliśmy przy wodach obrzydliwego szczura wędrownego. Dawniéj inwentarza tego nie znano w Polsce, jak świadczy historya o królu Popielu, którego nie szczury, ale myszy zjadły. Dopiero gdy po odkryciu Ameryki zjawił się szczur zwyczajny, i niezmiernie się rozmnożył, w r. 1750 przywędrował z Indyi rudy szczur zwyczajny, nienawistny wróg pierwszego, którego téż jako silniejszy w ciągłych bojach prawie całkiem wytępił. I tu, jak widzimy, sprawdza się teorya Darwina, która twierdzi, że silniejsza rasa czy między ludźmi, czy między zwierzętami, tępi słabszą. Gdym przed kilku laty po dłuższéj nieobecności w Krakowie odwiedził prof. dr. Janotę, znakomitego fizyografa, a szczególnie znawcę flory (świata roślinnego) i fauny tatrzańskiéj, wszedłszy do pokoju mego niegdyś nauczyciela, przywitany byłem jakimś niby mrukiem, niby świstem, odzywającym się gdzieś z kąta pokoju, i uderzony dziwnego rodzaju pokojowcem, ujrzałem zwierzątko niby zająca, niby wiewiórkę, ciemno-brunatnoszare z czarnemi, wielkiemi oczami i krótkim ogonkiem. Byłto **Świstak tatrzański**. Z Jędrzejem Wolą, jednym z najlepszych przewodników zakopiańskich*) na czele, przemaszerowałem niegdyś w towarzystwie prof. Janoty nasze Tatry, wdarliśmy się nawet na szczyt Swinicy, dokąd podobno rzadko kto dociera, a skąd, jak wieść góralska niesie, dla wybranych Kraków ma być widać. Wówczas jednakowoż nigdzie nam się nie zdarzyło spotkać ze świstakiem; był téż to późniejszy nabytek prof. Janoty. Świstaki żyją na wysokich górach, w Alpach, Pireneach i w naszych Tatrach. Żywią się roślinami alpejskiemi, a mieszkają w norach, które zmieniają stósownie do pory roku. Przez całą zimę nic nie jedzą, dopiero gdy słońce wiosenne do ich nór zajrzy, wychudłe na świat wychodzą. Świstak da się łatwo oswoić, a jego sposób życia w niewoli maluje ks. prof. Janota w następujący sposób. Zrazu dość lękliwy, za zbliżeniem się człowieka stawał na tylnych łapkach w kąciku pokoju lub przy ścianie i świstał; wzrok jego świadczył najwymowniéj o tém, że się boi i prosi o litość. Zaraz z początku dał się głaskać i nikogo nie kąsał. W krótkim czasie bardzo się obłaskawił i rozeznawał dobrze domowników od obcych, których w ogólności nie lubił. Głos i chód domowników tak dobrze umiał rozeznać od głosu i chodu obcego człowieka, że w wieczór nawet śpiąc dobrze i w innym będąc pokoju, poczuł przybyłą obcą osobę. Wtedy przybiegał, rżąc jak konik i najeżony starał się obcego z tyłu w nogę ukąsić. Na zawołanie, lub trzaskanie palcem, przychodził we dnie i w nocy. Tak świstak, jak i jego towarzysz a współplemiennik **bobak** z menażeryi kupiony, tak się do ks. Janoty przywiązali, że sypiali z nim w łóżku i nieraz na podziękowanie przynosili mu pęk siana. Zwierzątka te lubiły sobie wyglądać oknem, biegały za swym panem do ogrodu i wracały napowrót, dawały się brać do powozu, i jeździły z Krakowa na wieś. Na widok czegoś niezwykłego wydawały świst, zresztą mruczały jak niedowiarki, a bawiąc się z sobą, lub czasem i czubiąc, rżały jak małe koniki. Świsatk w polskiéj ojczyźnie swojéj pada zwykle ofiarą przesądów lekarskich, bo Podhalanie tłuszcz z niego, który się zresztą niczem od innych nie różni, używają jako uniwersalny środek na przeróżne choroby. Świstak prof. Janoty, znajduje się obecnie w muzeum hr. Wł. Dieduszyckiego we Lwowie, skąd być może na przyszły rok do Poznania na wystawę przywędruje. Mówiąc o zwierzętach krajowych, potrąca p. Pietruski także o **kozicę tatrzańską**. Piękny ten zwierz, którego mieszkaniem niebotyczne Alp i Pireneów szczyty i nagie Tatrów turnie, posiada podziwu godną zręczność. Z łatwością przebiega wąziutkie ścieżki (**percie**) nad bezdennemi przepaściami, wspina się na prostopadłe skały, a w razie niebezpieczeństwa o 20—30 stóp skacze ze stroméj skały na skałę. Bystry wzrok i słuch tych zwierząt, tudzież zwyczaj ich wystawiania czatów, gdy się pasą, rzadko któremu podróżnemu pozwalają spotkać się z niemi. Nie będziemy szanownych czytelników trudzić długim opisem téj ozdoby gór naszych, ciekawych odsyłamy do pięknéj rozprawy prof. **Nowickiego** w Przeglądzie Polskim z r. 1868 (listopad, grudzień) umieszczonéj. Niech nam wreszcie wolno będzie niniejszą pogadankę zakończyć kilkoma słowy o sławnym kruku p. **Pietruskiego** „Posiadałem mówi p. Pietruski, 24letniego kruka, cudów dokazującego, który do tego czasu na wsi żyje. Ten w istocie nadzwyczajny ptak, prawdziwy geniusz w swoim rodzaju, woła mnie po imieniu, każe ptakom jeść, a sobie kawy dawać, woła nareszcie wszystkich chłopców, którzy mu w różnych latach służyli. A szczególniejszym przypadkiem, bo jużciż naturalnie, że nie rozumie tego, co gada, ale ponieważ drocząc się z nim, uczyłem go wymawiać: „o, jaki ty nudziasz“, więc umie te słowa tak zastósować, że tylko jak zły wszystkich niemi traktuje. Oprócz tego jeszcze plecie wiele innych rzeczy po polsku i po rusku, przytém kaszle wybornie, jak gdyby miał suchoty.“

Dr. Z.

*) **Zakopane**, wieś w Tatrach, pod Nowymtargiem, zkąd zwykle robią się wycieczki w góry.

ROZMAITOŚCI.

(**Ogłoszenie konkursu**). Od Pana **Wilczyńskiego** odebraliśmy następujący list z prośbą o zamieszczenie.

Szanowny Redaktorze Sobótki. Uprasza się o zamieszczenie w swoim dzienniku następującego zawiadomienia o konkursie na najlepszy szkic pomnika dla Adama Mickiewicza, Zygmunta Krasińskiego i Juliusza Słowackiego.

Posągi mają być ze śpiżu, objętości o pół większéj jak naturalna, na podstawie granitowéj.

Szkice te, raczą Panowie Artyści przed 8 stycznia 1870 r. nadesłać, nie frankując, do Krakowa, pod adresem Wgo. dr. Dietla, prezydenta miasta, lub Wgo. Łepkowskiego, albo téż Wgo. Józefa Kremera, profesorów wszechnicy Jagiellońskiéj.

Następnie zjadą się członkowie komitetu, dla wybrania najodpowiedniejszego szkicu i wejścia w układ z jego właścicielem, co do ceny wykonać się mającego modelu.

Tymczasowy zawiadowca funduszów na pomnik ten zbieranych.

W. S. **Wilczyński**.

Nowesioło pod Stryjem w listopadzie.

Szarada.

Pierwszéj i drugiéj żeglarze się chronią,
Dla tego od niéj jak najbardziéj stronią;
Lecz gdy się pierwszą za drugą położy,
Powstanie wyraz znaczący dom boży.
Trzecią jest głoska, stoi w alfabecie,
A wszystko imię słynne w całym świecie.

(Rozwiązanie szarady w nr. 47: ***Szakale.***)

Sprostowanie. W Powiastce „Dziś“ nr. 47, strona pierwsza, wiersz 22, zamiast „**dosyć kształtna**“ czytaj „**dziwnie kształtna.**“

PUSZKA DO LISTOW.

Panu **W. W. w Wrocławiu**. Prosimy o pamięć. Nadesłaną krotochwilę zamieścimy w najbliższych numerach. — Panu **St. St. E. w Poznaniu**: Pierwsze dwa punkta są nader metafizycznéj natury, co do trzeciego zauważymy, że gdy jest „wybór między rozumem i sercem“, to się zwykle wybiera — i jedno i drugie. Panu **Wincentemu Ch. w Rogoźnie**: Słusznym zażaleniom Pańskim będziem się starali uczynić zadość. — Księdzu **W. Ch. w M.**, Dr. F. **Czapli w Chełmnie**: Rękopisma odebraliśmy; w najbliższym czasie nadeślemy odpowiedź.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ul. nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu.
Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.